

Barbarzyńcy w ogrodzie, czyli komu bije dzwon

Oj, nie wyleci już ptaszek z Łobzowa! Ani chichotliwy dzięcioł, ani rdzawolica raszka, ani nawet pokrzewka piegża. Nie, nie najadłam się lulka i szczwół plamisty też mi nie zaszkodził. Klnę się na róg nachura, że to prawda. Ale do rzeczy. Otóż nazajutrz po walentynkach czatowałam z przyjaciółmi: Dolnołużyczaninem z Chociebuża, eks-Afganką i jej abchaskim narzeczonym, mieszkającymi w Bochum, oraz chałturzącym w Holandii niby-żazaninem, będącym tak naprawdę Mazurem z Grzegorzówek. Ustaliliśmy trasę wspólnego wojażu: od Trzycierza na Pogórzu Rożnowskim, przez Borzęta, Międzybórz i Lubrzę, aż do Chodzieży, gdzie zamierzamy wziąć udział w Międzynarodowych Chodzieskich Warsztatach Jazzowych "Cho-jazz". Stamtąd wyskoczmy też na pewno do Łobzenicy, której uroki dopiero co zachwalano w RMF-ie. W końcu, pożyczwszy koleżeństwu ekstrahumoru, znużona rzuciłam się w objęcia Morfeusza, gdy zniecka z zewnątrz wdarło się do mych uszu zgrzytliwe rżenie, które musiało się nieść aż po Podgórkę Tyniecką. Współprzytomna rozchyliłam zasłony z żorżety, lycry i stretchu w kolorze écru. Do szyb zdążyło przylec coś à la stężały kozuch na zwarzonym mleku. Mój wzrok wyłowił jednak cienie, wymachujących jakimiś boschami albo husqvarnami, hożych pilarzy, przerynających wpół pień około stuipółletniej brzozy, nomen omen, płaczącej. Można by wziąć ich za chyżych chojraków ćwiczących hopaka na Chopoku, gdyby nie konająca u ich stóp, użyczywszy sobie słów wieszca, "pocziwa brzezina". Toż to himalaje barbarii. Rzewność wszechpotężna wżarła się w moje serce, żałość w nim zawrzała i niezamierzenie przybrała kształt quasi-elegii. Coś ty Krakowowi zrobiła, tu cytat: "brzozo-płaczko"? Po cóżes matki Polki strój przywdziała? Trzebaż ci było rżęsiłymi łzami rosić ofiary najeżdżących ciemieżców? Byłaś przyczółkiem nadziei dla serc żądnych Polski, to święcących triumfy, to unurzanych w hańbie. Nie wyszedł ci na dobre ten układ współczulny, każący ci nie swojej poddawać się karze. I nie zabije ci na odchodne dzwon Zygmunt, a jedynie siostrzyce twe z parku Jordana zakwilą żałością. Nie mogliż to ci zhardziali zasadzcy żywcem wyjętej z Schulza "ulicy Krokodyli" darować ci życia? Nie mogli u twego podnóża rozpostrzeć tafla stawu, w której jak w megalustrze pstrzyłyby się odbicia hojnie wyposażonych przez arcykolorystkę naturę uhli, oharów, krakw, grzywierek gżących się w trzcinach i cudokaczek? Brzozo srebrzystobiała, królowo nadwiślańskich pejzaży, ty hartowałaś dusze poetów-żołnierzy, próbujących uśmierzyć trójgłową gadzinę. Hołdy ci się należą w stulecie wiktarii (victorii). Dziś topór barbarzyńcy twą koronę strąca, skrzydlatym niebożętom rujnując gniazda. Dość lamentów! Pora na pogróżki. Strzeżcież się chytrzy inwestorzy, językowi szalbierze i łże-architekci. Wasza belle époque dobiega końca. Jeśli marszałek Piłsudski, dosiadłszy Kasztanki, w Święto Niepodległości opuści swój "niebiański Sulejówek" i obejrzy te wasze pseudoparki - rzędy żelbetowych klocków spod znaku Minecrafta, budowane na trupach polskich brzóz i wierzb, to jako ten wódz Mściwój, zrobi wam z waszych interesów taką jesień średniowiecza, że dantejskie piekło wyda się wam arkadią.